ŁUKASZ ORBITOWSKI

Strzeż się gwiazd, w dymie się kryj

Żyjemy wielokrotnie, wychodząc po drabinie z piekła ku chmurkom. Reinkarnacja jest bzdurą, nie odradzamy się, pawian wróci pawianem, księżniczka – księżniczką. Pewien człowiek na przykład wiódł swoje trzecie życie – od maleńkości wiedział, kiedy umrze, a przynajmniej, kiedy powinna umrzeć jego matka i ile będzie miał młodszego rodzeństwa. Mógł też rodzeństwo pomnożyć, matkę zabić, ocalić, znał bowiem siebie i zdarzenia, które staną się jego udziałem; z jaką kobietą będzie mu dobrze, jaka go zdradzi, w czyje ręce złożyć swój los, kogo unikać, co zrobić z pieniędzmi, pić, palić albo odpuścić. Myślał, że jest mądry z tego powodu, lecz kiedy umierał, stary, bogaty, otoczony przez bliskich, miał łzy w oczach, za sprawą błędów, które popełnił. Zmarł spokojny, wiedząc, że zamknąwszy powieki, otworzy je w nowym, tym samym, czwartym już życiu.

I tak to trwa, utrącamy pomyłkę za pomyłką, wychodząc na prostą, ku szczęściu – to wiedza, zwielokrotniona znajomość każdej chwili sprawia, że jesteśmy szczęśliwi bez końca, jakbyśmy żyli nie w kalejdoskopie, ale w lunaparku. Wychodzimy z ciemności, chaosu, ku światłu.

To jest historia mojego pierwszego życia.

***

No i zgarnęli mnie. Dobrze, że stary ochroniarz nie wezwał policji, tylko postraszył i puścił – jak mnie zobaczy tu ponownie, to i ja zobaczę swoje. Myślę jednak, że we mnie ujrzał prawdę, wie, że powrócę, będzie czekał. Poczekamy na siebie, jego oczy są słabe, przejdę w ich cieniu, wślizgnę się w ciemność, zejdę i znajdę to, czego szukam, choćbym miała rozkuć cały szpital. Mówią, że życia na to nie wystarczy, ale to nieprawda. Życia akurat mam dosyć.

Zatem prowadzi mnie z piwnic na górę, przez niski korytarz pełen rur – blaszane jelita tego potwornego miejsca. Trzyma mnie mocno, jak facet faceta, jutro rano pewnie będę miała sińce wokół ramienia. Oglądam się i widzę rozkutą przez siebie ścianę, kawałki cegieł, mrowiska czerwonego pyłu, w tym wszystkim kilof, młotek, i znów można by rzec: kobieta nie uniesie. Strażnik sapie, śmierdzi potem i czymś jeszcze. Dochodzimy do zakrętu i opadam na schody, wyślizguję się z jego uchwytu i leżę, zupełnie nieruchomo, z twarzą przyciśniętą do stopni. Jestem bezwładna, ochroniarz myśli, że zasłabłam, więc nachyla się ostrożnie. Boże, on nie wie! Naprawdę nie wie, więc mogę być nieprzytomna przez chwilę, nim mnie podniesie z tą męską, seksualną litością. A ja przytykam ucho do zimnej wylewki i, rany boskie, znów to słyszę, rytmiczne, mocne, jak bardzo to żyje, uderza – serce, ukryte przed diabłem.

Ochroniarz podnosi mnie, wsadza ręce pod pachy i szarpie ku górze; idę z trudem, kolana mam jak z waty i wcale nie muszę udawać, najchętniej runęłabym znowu, oddając ziemi zmęczenie. Ale idę, on coś pieprzy; niech gada, myślę sobie, słowa nie bolą, o słowach można zapomnieć, a nawet sobie je wsadzić gdzieś. Niech mówi, niech wyniesie mnie na zewnątrz. Teraz patrzy i pyta, czy wszystko w porządku. Potrząsa mną, nie złośliwie, widzę w nim troskę. Co z tobą, dziewczyno, słyszę, jesteś młoda przecież, dobrze się czujesz, czemu tu przychodzisz każdej nocy i kujesz mury? Wiem, że to ty. Co z tobą? Jesteś chora?

Tak, jestem.

***

Gdy pomyślę o moim pierwszym życiu, wychodzi na to, że było mieszaniną miłości i żartu, a nawet gorzej – mam wrażenie, że wrzucono mnie w ten świat dla hecy. Być może jestem zimną suką, lubię tak myśleć o sobie, przynajmniej nikt mi nie powie, że tak naprawdę, ciesząc się życiem, szukałam ciepła. Bo nie szukałam, a życiem cieszyć się nie sposób, chyba że przyjmiemy radość za pochodną rozpaczy.

Baśka twierdzi, że mam chorą duszę. Chorą. No, może i mam. Siedziałyśmy wtedy u niej, w tym ascetycznym pokoju, wyczyszczonym ze wszystkiego, na co można by się nadziać, i mówię jej, jak się czuję, że najchętniej to w ciul z tym szajsem. A ona, że mam chorą duszę. Że chorą duszę trzeba leczyć.

No, leczyć, jasne, próbowałam – miłością, seksem, alkoholem, narkotykami, Bogiem, rysowałam, malowałam, pisałam nawet, uprawiałam sporty, nie pomogło. Baśka na to spoważniała, zapaliła vougue'a i odparła: „W takim razie nie jest dobrze, laska, bo twoja dusza jest chora śmiertelnie". Dwa tygodnie później dowiedziałam się, że jestem w ciąży.

Poczułam się wtedy jak w paskudnym filmie o tematyce społecznej, takim jakie kręcą za państwowe pieniądze, o aborcji albo molestowaniu, potem obwożą po festiwalach i zgarniają nagrody. Oglądałam się, sprawdzając, czy nie ma kamer. Dziwne. Bo w moim życiu było miejsce na wszystko, tylko nie na dziecko. Nie rozumiałam, jak mogło do tego dojść – jeśli moje ciało jest sprzęgnięte ze światem, to powinno być odporne na plemniki. Nie było. Zatem jestem przeciw światu moim własnym ciałem.

Mam trzydzieści dwa lata i wciąż jestem ładna. Do niedawna pytano mnie o dowód, gdy kupowałam wino na wieczór – butelka do snu, zawsze gdy jestem sama – ścinam się na krótko, prawie po męsku, tak wygodniej, moje usta podobają się mężczyznom, oczy maluję mocno, za mocno, mam szczupłe dłonie i stopy jak dziewczynka. Uczę niemieckiego w szkole prywatnej, dorabiam korepetycjami i gdy patrzę, patrzyłam, na młodych ludzi, czuję przepaść, tę samą, której mogłaby doświadczyć babcia, rozmawiając ze mną. Są zimni i puści, gniewni chęcią posiadania – ja nie wiem, po co ludzie pragną mieć lub nie mieć – kiedy podrosną, rozszarpią mnie. Rozszarpią nas wszystkich.

Ludzie mówią, że dziwka ze mnie, ale spałam tylko z trzynastoma facetami i nawet mogę uwierzyć w pechowość tej liczby. Trzynastu facetów od pierwszego razu, jeszcze w liceum, kiedy seks kojarzył mi się wyłącznie z zabawą. Myślę, że niepochlebne opinie o moim kurestwie wypływają od Romka, który nie radzi sobie z porzuceniem, skuczy i szczeka na przemian, choć grzbiet ma przetrącony. Sprawiedliwość mu oddam.

Być może drudzy bywają trzynastymi – historia mojego zaciążenia do niedawna wywoływała salwy śmiechu. To dobrze, myślałam, przynajmniej nikt mi nie współczuje. Zatem tu opowieść jest prosta, zupełnie niekobieca. Bo ja się już nie czuję kobietą. Ale kiedyś byłam, bardzo długo, i spotykałam się z Romkiem, jeszcze na studiach. Trafiliśmy do jednej grupy. Jakoś przypasowaliśmy sobie, był wesoły, miał duszę artysty i typowo germańską fantazję – wszędzie widział tylko tancbudy i volkswageny. Teraz myślę, że to była pierwsza poważna rzecz w moim życiu.

Spotykaliśmy się kilka miesięcy i od października zamieszkaliśmy razem. Wówczas wynajem był jeszcze tani, uwiłam nam gniazdko i myślę, że przez jakiś czas było nam dobrze, tyle że on odklejał się bardziej i bardziej, a ja chciałam skracać dystans, otworzyć się i mówić mu o wielu sprawach. Chyba go nie kochałam, bo nie mogłam, przełamywałam wstręt, próbowałam dawać, mimo obrzydzenia, aż wreszcie powiedziałam: „Nie kocham cię. Przykro mi". I poszłam, na ciepły, upatrzony grunt.

Romek szarpał się trochę, ale raczej dusił gniew w sobie, zaciskał usta, ja płakałam i rzeczywiście było mi przykro. Okazało się, że zniknął, całkiem, z uczelni, z Warszawy, kamień w wodę, zostawił tylko łzawy list, przypięty do tablicy na uniwersytecie – będzie na mnie czekał w ukryciu, telefonu nie zmieni, za to swoje życie owszem, i ma nadzieję, że kiedy zadzwonię, będzie już zupełnie innym facetem. „Świat, w którym nie można Cię kochać, jest piekłem", tak zakończył. Myślę, że napisał ten list wyłącznie po to, żebym poczuła się źle.

Przez lata wszystko się ulotniło, a gdy spotkaliśmy się niedawno, zupełnym przypadkiem, wystarczyło nam sił na pogwarzenie w knajpie, urżnięcie się i pójście do łóżka. Czego się dowiedziałam? Romek podróżował po świecie, a jeśli natrafił na strzępy mądrości w Tybecie, Chinach, Australii, to z pewnością nie wrócił z nimi do Polski, podobnie jak sztukę kochania pozostawił w Indiach. Pamiętam jego tors, unoszący się nade mną, ponure pchnięcia, wysłużone jęki, aż się zsunął, wyszedł, lecz zarazem został we mnie. Tak.

Rozmawialiśmy trochę. Romek to inteligentny człowiek, lecz ta inteligencja nie ma w sobie brutalności; mnie to drażni i męczy na przemian, pozwoliłam mu odfrunąć, na co przystał z chęcią, w każdym razie z ulgą, jakby rzeczywiście wierzył, że karteluszki sprzed dekady wciąż obowiązują. Wychodził spokojny, trochę dumny, myślał chyba, że zaznaczył swoją własność, teren w kobiecym ciele, jak pies. Wykąpałam się i znów byłam niczyja, a przynajmniej tak mi się zdawało.

Informacja, że jestem w ciąży, była mocna, niespodziewana, nade wszystko zaś ponura w swej banalności. Lekarz powiedział, że dzieciak jest chyba silny jak sam diabeł, te ślubne często się traci, z wpadki trzymają się życia, moje chwyciło się mnie. Nie chciało puścić. Ale jaja, myślałam sobie w tężejącym przerażeniu, to typowe aż do hecy, przypadkowy człowiek, ot, jednorazowy wyskok, a teraz kłopot. Gdybym była młodą, durną osiemnastką, mogłabym czuć się skrzywdzona, a przecież to ja chciałam krzywdzić.

Nie wyobrażałam sobie tego, ani życia, ani bólu, ani rzeczy prozaicznych, na przykład odstawiania kadarki co wieczór, płuc bez papierosowego dymu, bólu zęba bez ibupromu na obiad i gardanu na

kolację, bez kawy i czekolady, knajpianego smrodu, a przede wszystkim – braku nadziei. Stanęłam naga w oku lwa, wszystko się skończyło. Siadłam więc w swej wynajętej garsonierze, między książkami, laptopem na łóżku, popielniczką z kiepami zabrudzonymi szminką, zaczęłam ryczeć i wrzeszczeć na przemian, przeklinając własną naiwność i ślepy los. Prozaiczny kłopot – zasnąć na trzeźwo to zupełna nowość. Siedziałam, jęcząc nad sobą do drugiej, niezdolna do myślenia, co dalej. Płacz mnie tak zmęczył, że zasnęłam, przyłożywszy głowę do poduszki, by obudzić się czterdzieści minut później, wybita ze snu, jak po trzech kawach. Gapiłam się w sufit, na skrzeczące w cieniach twarze. Śmiertelnie przerażona, widziałam całe swoje życie – wakacje na koloniach, kiedy topiłam się po raz pierwszy, trupa dziadka o sinych już palcach, pierwsze miłości, jeśli były to miłości, studia, wyjazdy, kolejnych facetów, z którymi byłam po dwa, trzy lata, po czym szliśmy w diabły, oboje. I co teraz? Sylwia, co ty ze sobą zrobisz? Teraz jesteś obca. Zaczęłam się snuć.

Znalazłam trzy pocieszenia – moja historia była jak z powieści albo filmu, nad którymi schylają się inteligenci, co wydawało mi się śmieszne i straszne zarazem. Praca w szkole, nawet prywatnej, daje korzyści, trochę grosza. „Poza tym, babo", mówiłam sobie, „teraz nie rodzi się pod płotem, nie idzie później z sierpem na pole, mamy cywilizację, wiek dwudziesty pierwszy". Trzecim, choć marnym pocieszeniem był Romek, a raczej jego oszalała ze strachu morda. Powiedział: „Jedź do Czech i usuń, zapłacę, potem wyjedziemy razem odpocząć, będę się tobą opiekował. No, co cię to wali, przecież w Boga nie wierzysz". Ja na to: „Owszem, jasne, dziecko to tylko część mnie, kochany, a ja się nie dam rozdrapać na części i trzeba było myśleć wcześniej".

Powiedział, że rozumie i się poczuwa, że coś wymyśli. Poszedł – mógłby świecić w ciemności tymi przerażonymi oczyma – no i się zaczęło. Dzwonił w nocy i lamentował: jeszcze nie jest gotowy, powinnam wszystko przemyśleć, przecież mu życie zmarnuję, nie można myśleć tylko o sobie, o rany boskie, jak żart może się skończyć poważnie. Ja na to kręciłam głową: rób, chłopie, co chcesz, mięczaka mi nie trzeba. On na to, że uparłam się urodzić, żeby mu zrobić na złość, z kurestwa.

***

Mieszkam w Woli Gradkowskiej, miasteczku zbyt dużym, żeby nazwać je dziurą, i zbyt małym, by dotarło do nas cokolwiek poza pierwszymi jaskółkami cywilizacji. Mamy multipleks i galerię handlową, stary młyn, kilkanaście knajp, renesansowy ryneczek i romańską basztę, sterczącą samotnie między kamienicami. Ludzie są tu nudni i smutni. Wielu wyjechało. Na ulicach widuję głównie licealistów, staruszków i zagubionych pięćdziesięciolatków; ci ostatni mają miny niczym turyści, którzy wysiedli na nie tym przystanku co trzeba i nie mają pojęcia, gdzie są. Najgorzej jest w święta, kiedy przyjeżdżają studenci i młodzi pracownicy z Poznania. Co za świat, myślę wtedy, żyłam sobie w Nowym Jorku, w Warszawie, teraz jestem tutaj.

Oprócz Baśki mam Centa i Snupa. Mieszkają razem z oszczędności i nieustannie odpierają zarzut o homoseksualizm. W istocie, Cent ma dziewczynę, z którą planuje się ożenić, gdy tylko dorobi się na handlu spodniami, Snup zaś szaleje za dwie renty. Pierwszą dostaje po rodzicach, którzy zginęli w wypadku w dzień jego osiemnastych urodzin, i drugą, ponieważ rozum go opuścił. Nie znam ich prawdziwych imion. Coś musiało im się przestawić, wierzą bowiem, że są 50 Centem i Snoop Dogiem. Nigdy nie dowiedziałam się, czy mówili poważnie, czy żartowali. Jeden z nich mnie kochał, ale nigdy nie zdołałam się domyślić który.

Powiedzieli mi to samo: „Dziewczyno, to nie koniec, lecz początek życia, będziesz cierpieć i będzie ci smutno, to ból jak cholera i zmiana wszystkiego, ale wystarczy ta jedna chwila, gdy lekarz położy ci małego na piersiach i zapomnisz, zobaczysz światło, które cię nie opuści. Macierzyństwo jest jak życie, bolesne i bardzo piękne, więcej, macierzyństwo jest prawdziwym życiem". Kiedy Cent poszedł, Snup przycisnął mnie do muskularnej piersi i powiedział:

– Ech, Sylwi, Sylwi, duża dziewczyna z ciebie, a nawywijałaś jak nastolatka. I jeszcze dobro sprowadzisz na świat.

Powiedziałam mamie. Bałam się tego, co mogę usłyszeć. Mama pokiwała głową, powiedziała, tym swoim głosem cierpiętnicy, że dobrze się stało i na pewno znajdę u niej pomoc. Odkąd pamiętam, była przerażona moim życiem i w dziecku, tak myślę, dostrzegła szansę na przywrócenie mi spokoju, mapy celów i sensów.

– Każdy musi porządkować bałagan wokół siebie – tak mi powiedziała. – Jeśli sama sobie tego nie poukładasz, życie zrobi to za ciebie. Nawet twoje ciało domaga się ładu. – Pocałowała mnie w czoło, objęła tak mocno, jak tylko matce wypada. – No, nie martw się, Sylwuś, przecież dla ciebie zaczyna się coś pięknego.

Długo tak mnie trzymała. Wyglądała na bardzo szczęśliwą, a ja klęłam w duszy, że znajduje światło w moim nieszczęściu. Pogadałyśmy chyba do pierwszej o tym, jak to było cudownie, gdy byłam mała i nikt się nie spodziewał, że kruszynka przerodzi się w cholerę. Jej oczy błyszczały. Powiedziała, że mogę zostać w pokoju gościnnym, rozłożyła mi kanapę, jeszcze raz pocałowała w czoło, naciągnęła kołdrę; jej oczy się śmiały: „Moja mała dziewczynka", powiedziała jeszcze i poszła do siebie. Słyszałam, jak upada, strącając karafkę z wodą do kwiatków. Runęła wprost na potłuczone szkło, a gdy znalazłam się przy niej, prawą ręką usiłowała wskazywać lewą, nieruchomą. Wywracała oczyma i kopała jedyną sprawną nogą, w ustach pękł bąbelek śliny. Nie mogłam z początku jej podnieść – mama od dawna nie dbała o siebie i bardzo utyła. Chwyciłam ją pod pachy i szarpnięciami, jęcząc i płacząc, usadziłam na fotelu, potem przycisnęłam ręce do twarzy. Matka jeszcze próbowała coś mówić lub pokazać. To potworne, widzieć jak ktoś cierpi, prosi o pomoc i nie rozumieć, czego chce.

Szpital w Woli jest ogromny i pozostaje w fazie nieustannego remontu. Ma wiele rozgałęzień i załomów, otacza go park, przeobrażony czasowo w plac budowy. Odkąd pamiętam, po szarych ścianach pięły się rusztowania; teraz, gdy zajechałyśmy tam z mamą karetką, zauważyłam, że rusztowania zniknęły. Wciąż jednak stała zielona buda z narzędziami robotników, obok piętrzyły się rzędy pustaków. Sanitariusze popędzili z mamą, a ja zwyczajnie znieruchomiałam, coś odjęło mi siłę w nogach i sercu. Patrzyłam na oddalające się nosze i przerażałam samą siebie – pomyślałam bowiem, że lepiej dla mamy, żeby umarła, niż żyła ze sparaliżowaną połową ciała. Nie dam rady zaopiekować się dzieckiem i nią.

Zapaliłam, choć wiedziałam, że mi nie wolno. Mały mi wybaczy tego jednego. Cisnęłam papierosa na trawę i nagle ogarnął mnie chłód – stałam w samej bluzce, o drugiej w nocy, zimną jeszcze wiosną. Pobiegłam do wejścia, a chłód podążał za mną.

Lekarz – facet z siwą brodą i wielki jak niedźwiedź – powiedział, że matka miała wylew, poszedł tętniak, połowę ciała ma sparaliżowaną. Trzeba czekać, sprawdzać, czy można operować, czy jest dojście. Zastanawiałam się co odpowiedzieć, jeśli dojścia nie będzie. Mama, nieprzytomna – popatrzyłam na nią – leżała w dwuosobowym pokoju, na plecach, miała zamknięte oczy. Dotknęłam jej piersi, oddychała szybko. Przyłożyłam głowę do jej ramienia.

– Będzie żyła – usłyszałam za sobą.

Odwróciłam się. Na łóżku obok siedziała stara kobieta. Zapadniętą, niemal wklęsłą twarz otaczał wielki kołtun siwych włosów, wargi cofnęły się ku bezzębnym dziąsłom, z żółtej skóry na przedramionach odchodziły kroplówki.

– Ja zawsze poznam, ha, widzę, że będzie dobrze. Ciężko, ale dobrze, nie bój nic. Ja tu długo siedzę. Wiesz co, mogę wskazywać palcem: ten umrze, ten będzie żył. To nie jest trudne, wystarczy rozpoznać, kto chce walczyć, a kto nie.

Nic nie odpowiedziałam, ucałowałam nieprzytomną mamę i poszłam ku wyjściu. Starucha, wiem to, złośliwie czekała, aż stanę na progu, by podzielić się ze mną kolejną mądrością.

– Będzie dobrze! – powtórzyła i wybuchnęła serdecznym śmiechem. – To chłopiec, prawda? Od razu widać! Będzie duży i silny, jeszcze mamę na rękach ponosi! Zobaczysz! Tylko się nie bój!

Wybiegłam, a ona wołała za mną:

– Leć, leć, leć!

***

Wróciłam po ręczniki, piżamę, trochę bielizny, jakieś kosmetyki, wrzucałam do torby wszystko, co przyszło mi do głowy, soki i wodę kupię w szpitalnym sklepiku. Szłam przez miasto, ludzie dziwnie patrzyli – oto środkiem drogi pędzi trzydziecha udająca nastolatkę, z torbą przewieszoną przez ramię, w rozsznurowanych butach, z wielkimi, wytrzeszczonymi oczyma, rozmazanym tuszem – wiem, widziałam się w szybach samochodów.

Niebo nad szpitalem wyglądało jak przydymione szkło. Matkę zastałam nieprzytomną, nikogo przy niej nie było, ale na szafce przy łóżku pojawiła się metalowa płytka miska, obok stał stojak na kroplówkę, a jeszcze dalej przepierzenie, oddzielające żywych od umarłych. Zajrzałam. Pokręcona staruszka, która stroiła sobie ze mnie żarty, kpiła już na tamtym świecie. Wydawała się o połowę mniejsza niż za życia. Miała palce jak dziecko, tyle że pomarszczone.

Wyszłam stamtąd. Zwaliłam plecak przy nieprzytomnej matce i powlokłam się przed siebie, bez celu, korytarzem spowitym trupim światłem. Mijający mnie lekarze mieli woskowe twarze, poważne, szkliste oczy, a pacjenci, leżący w otwartych pokojach, odwracali się, unikając mojego spojrzenia. Wpadłam na pielęgniarkę, która gnała gdzieś z kubkiem kawy, ofuknęła mnie, a ja odskoczyłam. Jej ciało, gdy je dotknęłam, było chłodne. Nie lodowate. Chłodne.

Przystanęłam przy wyjściu. Rozbolał mnie brzuch, zaczęłam wyć. Musiała być siódma, bo pojawili się robotnicy, było ich około dziesięciu. Zwaliści, mrukliwi, podpici i śmierdzący, weszli bocznym wejściem i dalej, w dół, po schodach.

– Dobudowują nam poziom w piwnicy – wyjaśnił młody lekarz, który wyszedł przed budynek na papierosa. – Będzie tam oddział dziecięcy, przeniesiemy ten ze skrzydła. – Przesłał mi dziwne spojrzenie. – Nie zimno pani? Długo pani tu czeka?

Chciało mi się wymiotować. Toaleta na parterze była zajęta albo zamknięta. Nowo poznany doktor skierował mnie na pierwsze piętro i stał, obserwując, jak idzie mi wspinanie się po schodach. Szło świetnie, ale ledwo skręciłam, znikając z jego pola widzenia, osunęłam się na kolana i zwymiotowałam. Bolało, zamroczyło mnie, próbowałam złapać oddech i zwymiotowałam znowu. Przed oczyma wirowały płatki sadzy, czułam też zapach smoły i ciemności, tak, w tamtej chwili byłam pewna, że ciemność cuchnie mokrym mięsem.

– Dobrze się pani czuje? Halo! Halo! Co pani jest?

– Nie, na pewno nie czuje się dobrze.

– Skąd wiesz?

– Jeśli ktoś wymiotuje na półpiętrze, z reguły nie ma się najlepiej.

– Ale mamy dziwne czasy. Więc może to i dziwna dziewczyna. Jak gwiazdy.

– Gwiazdy i dym.

– Co dalej?

– Wybacz, ale naprawdę nie wiem. Dobrze się pani czuje? Halo! Halo! Co z panią?

Uniosłam głowę, płatki sadzy uleciały do sufitu. Na półpiętrze przede mną znajdowały się otwarte drzwi, a w drzwiach stało dwóch facetów w lekarskich kitlach, podobnych i różnych zarazem. Pierwszy miał starannie przystrzyżone włosy, gładziutką twarz i smukłe, prawie kobiece dłonie. Drugi wysmarował się brylantyną – półdługie kudły opadały na kark – miał kilkudniowy zarost, a pod oczyma głębokie cienie. Uśmiechnął się.

– Chodź do nas – powiedział.

– No, już, już – ponaglił drugi.

– Naprawdę nie ma się czego bać.

– Jestem doktor Ciało – powiedział ten nieogolony i wskazał na drugiego – a to doktor Krew.

Próbowałam wstać, ale osunęłam się po ścianie na spoconych dłoniach. Tamci patrzyli na mnie uważnie. Zawołałam więc, żeby przyszli i mi pomogli; potem pójdę z wami, gdzie chcecie, kochani doktorkowie, Ciało i Krew.

– Nie da rady. Nie możemy stąd wyjść, ale możemy przyjąć cię u nas, jeśli tylko zrobisz parę kroków – powiedział doktor Krew.

Popełzłam na czworakach, omijając plamę wymiocin, i zasmuciłam się myślą, że nawet to mi w życiu nie wyszło. Sadza powróciła, tym razem opadając mi na płuca; bardziej się czołgałam, niż pełzłam. Gdy wbiłam paznokcie w próg, Ciało i Krew pochwycili mnie jednocześnie. Jeden starannie otarł mi twarz, drugi poklepał mnie po ramieniu.

– No i widzisz, dziewczyno? Wszystko będzie dobrze. Dalej, dalej, pokażemy ci twój pokój.

– Najpierw do mnie, do mnie mówię – złościł się doktor Krew.

Wyzwoliłam się z uścisku, wyrwałam Ciału chusteczkę i sama wytarłam sobie usta. Wyglądali jak para błaznów. Tak, już wiem, to dom wariatów. Mają tu oddział dla szalonych; ci dwaj są pacjentami.

– Chwila, chwila. Wydaje mi się, że nie jesteście żadnymi lekarzami. Czemu nie możecie wychodzić? Może jakiś prawdziwy lekarz wam zabronił?

Ciało się skrzywił, a Krew roześmiał.

– Chodź. Zobaczysz, niedługo dowiesz się wszystkiego.

– Nie masz racji. Pokaż jej – wtrącił się Ciało.

Doktor Krew poprawił okulary.

– Jeśli nie mam racji, to ty jej pokaż.

Dreszcz przeszedł po twarzy doktora Ciało i zaraz zmienił się w cierpki uśmiech. Ciało odsunął kolegę w głąb korytarza – korytarz był pomalowany w pastelowe kolory, na ścianach wisiały widoczki w ciasnych ramach – przesunął mnie, tak by zrobić sobie miejsce. Zacisnął dłoń w pięść, polizał knykcie i szybkim ruchem przyłożył do podłogi na zewnątrz. Rozległ się syk. Doktor Ciało oderwał rękę, podsunął mi pod nos. Wyraźnie widziałam szybko ciemniejące bąble po oparzeniach. Korytarzem już pędził doktor Krew z miską zimnej wody.

– Nie możemy stąd wychodzić, bo spłoniemy żywcem. Świat nas podpali. – Doktor Ciało robił dobrą minę do złej gry. – Chodź z nami. Może, powtarzam: może jakoś cię tu uleczymy.

– Gwiazdy i dym, gwiazdy i dym – powtarzał doktor Krew.

***

Obaj urzędowali w przestronnym gabinecie przy końcu korytarza. Okno wychodziło na park i osiedle Lenartowicza, za to sam pokój wyglądał na najzwyklejszy pokój, który ktoś usiłował przerobić na gabinet lekarski, w pięć minut i najtańszym kosztem. Ściany pokrywały postery o zdrowym odżywianiu i dziwacznych lekarstwach, na regale stały skoroszyty, rzekomo poświęcone historii pacjentów, ale wszystkie były puste, a na biurku doktora Ciało płaski monitor; nie był podłączony. Sam Ciało siedział z zabandażowaną dłonią i patrzył na mnie z mieszaniną ulgi i wyrzutu.

Doktor Krew usadowił się za biurkiem, gdzie każda kartka, gazeta i długopis miały ściśle określone miejsce, oparł się łokciami o blat i zaczął pytać, notować i pociągać nosem. Odpowiadałam niechętnie. Co go obchodzi, jak wspominam podstawówkę, kiedy pierwszy raz się zakochałam i czy jestem w ogóle do zakochania zdolna, czy lubię prowadzić samochód i czemu nie chcę innego modelu niż czarny golf, jak, do cholery, dogaduję się z matką, jak dogadywałam się z nią, gdy była przytomna, wreszcie, gdzie boli najbardziej, gdy budzę się, raz na jakiś czas, ogarnięta niezrozumiałym przerażeniem? Mazał coś w kajeciku, gryzł wargi i ołówki, aż wreszcie nie wytrzymał i zapalił papierosa, stając przy oknie. Pytał dalej: o kim myślę, kiedy rano wstaję, czego nie umiem, po co właściwie jestem i czy naprawdę musi być tak, że Sylwia, germanistka i matka, jest tylko naroślą, hubą na świecie.

Ciało w tym czasie oprzytomniał i zaczął wokół mnie tańcować – przyniósł kolejno wodę, herbatę i koniak, wrzasnął na pielęgniarkę, żeby szykowała salę i podała obiad. „Stąd nie można zadzwonić po pizzę, ale powinnaś wiedzieć, że możesz wyjść i wrócić w każdej chwili” – tak mi rzekł, a potem jął mruczeć pod nosem o gwiazdach i dymie. Zaraz wjechał obiad, zupełnie nieszpitalny: młode ziemniaczki i parujący kotlet z najpyszniejszą kapustą na świecie. Zjadłam, nim się obejrzałam, niemal dławiąc się wodą.

Krew dalej pytał i pytał, a z czasem do rozmowy włączył się także Ciało, rzucając sentencje zza moich pleców.

– Ludzie wszystko pojmują opacznie – powiedział na przykład, gdy wyznałam, że do kościoła chodzą jedynie na śluby i pogrzeby. – Tyle się mówi, czego Bóg od nas wymaga, interpretuje się każde słowo z Biblii na dziesiątą stronę, nie wiem po co. Chrystus dał świadectwo, nic więcej. A mianowicie takie, że nie powinniśmy żyć dłużej niż 33 lata. Po prostu, zbytek łaski, za wiele radości, nic już nie ma sensu i nie zdarzy się już nic ciekawego.

– Powiedz lepiej, ile sam masz lat – rzucił Krew zza biurka i zaraz zwrócił się do mnie: – Wybacz, on tak już ma. Jak sobie nie pogada, jest nieszczęśliwy. A nikt nie powinien być nieszczęśliwy.

– Nie w tym miejscu – dodał Ciało.

– No, nie w tym. Bo widzisz, Sylwio, w naszym szpitalu nie leczymy ciała ani głowy, tylko dusze.

– Wiem! Już wiem! – wykrzyknął doktor Ciało, masując sobie czoło. – Urodziłem się w Kartaginie, w roku jej zburzenia.

Doktor Krew westchnął i wziął się do notowania.

– Mówiłem ci. On tak zawsze. Nie myśl, że próbujemy być zabawni czyimś kosztem. Zwyczajnie, po prostu próbujemy. Nieodmiennie wychodzi na to, że nie warto.

***

Pokazali mi mój pokój, nieznośnie szpitalny, a zarazem cudny. Ledwo weszłam, zrobiło mi się cieplej, jakbym wystawiła głowę z zimnej nory na nasłonecznioną łąkę. Stało tam białe łóżko na kółkach i obok drugie, mniejsze, osłonięte z trzech stron drabinką – dla dziecka. Wyżej wisiał na ścianie sfatygowany obrazek Matki Boskiej, taki, jakie rozdają księża na kolędzie, a pod nim rząd dziecięcych malunków, zostawionych przez malców, na pamiątkę. Był też zlew w kształcie wanienki i osobna łazienka z prysznicem.

Doktor Ciało wskazał na szafę w rogu.

– Tutaj są ubrania. Drobiazgi. Trochę kosmetyków.

– Nie powinnaś się brzydzić – dodał doktor Krew – każdy pacjent ma tu rzeczy tylko dla siebie.

Chciałam zapytać, o jakich pacjentach mowa, skoro wędrując korytarzem, widziałam puste sale, łóżka płaskie, bez jednej zmarszczki, przypominające groby, ale kiedy się odwróciłam, doktorzy już sobie poszli. Tylko ich kroki brzmiały na korytarzu. Coś mówili. Śmiali się. Ucichli.

Oparłam się łokciami o parapet. Zieleń za oknem pozwalała zapomnieć, że jestem w mieście, gdzieś tylko mignął mi samochód, w oddali majaczyły bloki. Z lewej dobiegały odgłosy robót, ale trawnik przed szpitalem był czysty, jeśli nie liczyć blaszanej budy, w której robotnicy trzymali narzędzia, pili piwo i klęli tak barwnie, że na moment o wszystkim zapomniałam. Otworzyłam okno szeroko. Do pokoju, niczym niewidzialna piłka, wpadła wiosna. Na brzegu swego życia usiadłam i zapłakałam.

Przyjrzałam się dziecięcym obrazkom i doszłam do wniosku, że jeden malec ściągał od drugiego. Malunków było siedem, każdy na kartce z bloku, przyszpilony do drewnianej listwy na ścianie. Na jednym rekin płynął nad wulkanicznym dnem, obok szczęśliwa rodzina wędrowała w stronę arcykolorowego domku, był jeszcze piesek, kula ziemska, statek, samolot. Wszędzie w tle błyszczały punkty naniesione żółtą kredką, nad psem, domem, a nawet pod wodą, pod płetwą rekina. Szare kłęby odrywały się z rogów obrazków, z komina domku, z uszu psa. Gwiazdy i dym, powiedział doktor Ciało w mojej głowie.

Nie okłamali mnie. Aż jęknęłam ze zdziwienia i radości, kiedy w szafie, zgodnie ze słowami doktora Krwi, znalazłam rzeczy tylko dla siebie – ukochane sukienki, dżinsy z fabrycznym przetarciem na udzie, które kupiłam nie dalej niż trzy miesiące temu, czerwoną bluzeczkę, w której wyglądam cholernie seksownie, nawet kolczyki, majtki, ulubiony ręcznik barwy nieba, odtwarzacz empetrójek, zapełniony tym co lubię, książki, zgromadzone na górnej półce; znałam w nich każde zagięcie, a miejscami – każde słowo.

Wzięłam prysznic, w wysokim lustrze obserwowałam swoje zmienione ciało. Po raz pierwszy wyraźnie dostrzegłam lekkie zaokrąglenie brzucha, powiększone piersi, pociemniałe sutki, mocne ramiona; cholera, pomyślałam, tyłek masz dalej zgrabny, bije życie w tobie, Sylwuś moja, jesteś taka piękna. Otuliłam się w ręcznik, porwałam książkę, runęłam na łóżko, było ciepło, dobrze, czytałam powoli, a wokół znikał czas i świat.

***

Obudziłam się w nocy. To było jak cios w głowę: oto śpię i nagle coś wyrzuca mnie na zewnątrz – ląduję w ciepłym i przemienionym pokoju. Był dwukrotnie większy, zniknęły łóżeczko dla małego i szafa. Leżałam w nowoczesnym, skromnie urządzonym mieszkaniu, pełnym mebli o opływowych kształtach. Zapaliłam fikuśną lampę – widziałam parkiet, półkę z bajkami, zabawki. Usiadłam na łóżku. Tak, wszystko się zmieniło, tylko obrazki pozostały te same: rekin, domek, pies.

I nagle znalazł się obok, i nagle trzymałam w ramionach jego jasną głowę. Był chyba zaskoczony, nie spodziewał się, przywarł mocno do mnie i powtarzał:

– Mamo, mamo. Boję się spać.

Aż zabolało w środku, jakby ktoś przejechał łańcuchem od brzucha po gardło. Czułam rdzę na języku.

– Zapal światło. – Głaskałam go po głowie. – Przecież nie musisz spać przy zgaszonym.

Nie wiedziałam, co mówić, nie umiem rozmawiać z dziećmi, coś wewnątrz mnie po prostu tak powiedziało. Mały – Boże, jak on miał na imię? – wysupłał się z mojego uścisku i siedział przede mną, nad wiek poważny. Miał może cztery lata, okrągłą buzię, oczy moje, tyle że bystre, cały drobniutki, małe dłonie; musiał się uderzyć, świeży strupek szpecił podbródek.

– Ja nie boję się ciemności. Boję się spania.

Pocałowałam go w czoło, w oczy, po kolei.

– Co strasznego jest w spaniu?

– Wtedy mnie nie ma – rzekł, bardzo skupiony, z trudem dobierał słowa. – Jest jasno, jaśniutko jak w bajce. Ale siebie nie mogę znaleźć.

To dziecko nie powinno tak mówić. Jest za małe. Znów zniknął w moich ramionach; pewnie, że ciebie nie ma, skąd masz być, jesteś drobiazgiem, skrawkiem genu w moim brzuchu, człowieczkiem czasu niedokonanego, teraz patrzymy na siebie. Czym odurzyli mnie Ciało i Krew? Przytuliłam go jeszcze mocniej, pociągnęłam ku sobie. Śpij, proszę, śpij. To właśnie jest sen, pomyliłeś się, maleńki, istniejesz we śnie, na jawie cię nie ma. Przecież to ułuda, ręce mam wciąż młode, byłyby inne po czterech latach.

Ale on pachniał strachem i potem.

– Śpij tutaj – przesunęłam się na łóżku, odchyliłam kołdrę, oddałam mu swoją poduszkę, ugniotłam ją – tu na pewno przyśni ci się coś dobrego. Przyśnisz się sam sobie.

Ułożył się, nie bez protestu. Zgasiłam światło i w półmroku widziałam białka oczu; bał się je zamknąć, ale w końcu to uczynił. Oddech mu się wyrównał, znalazłam w nim spokój, ale sama nie mogłam zasnąć aż do świtu. Patrzyłam na mojego synka, przerażona, że ocknę się koło trupa.

***

Czasem mam wrażenie, że nakładam na siebie cudze życia, że jest jakaś szafa, długa na pół świata, którą odwiedzam – coś odwiedza – w półśnie. To coś nakłada na siebie skórę, z kieszeniami pełnymi pragnień, uraz, z drzazgami zadr wbitymi w buty i wędruje przez świat. Czasem targam ze sobą walizy ze skórami, zmieniam je w biegu albo w ubikacji i nie wiem nawet, po co mi one – przecież należały do kogoś innego. Skóra matki, kochanki, nauczycielki, licealistki z fiu-bździu w głowie, dziewczyny sennej, dziewczyny roześmianej. Słuchajcie, mam tu wszystko!

Czasem leżę w bezdźwięczności nocy, trochę już człowiek, trochę tylko coś, i zastanawiam się, kim byli ci wszyscy, których życia donaszam, czy jeszcze żyją i co robią w sobotnie popołudnie. Czy wiedzą, że ich skóry są komuś potrzebne? Myślą niekiedy o nich? I nagle przychodzi niepokojąca refleksja, że to nie cudze skóry, ale moje, które odrzuciłam niczym wąż i zamiast wywalić w cholerę, zagrzebałam, schowałam, pewna, że nadal mogą się przydać.

Rano przyszli lekarze.

Wiedziałam, że mój syn ma na imię Michał.

Miał teraz osiem lat, siedział po turecku przed telewizorem, nie widząc świata poza grą na konsoli. Prosiłam, żeby dał sobie spokój, zajął się czymś sensownym, spytałam, czy jadł i czy się mył. Nie mówił nic o snach.

– No i jak cudnie – ucieszył się doktor Ciało.

Za to doktor Krew sprawiał wrażenie zdenerwowanego. Krążył po pokoju, niby przyglądał się książkom, zerkał na ekran i na mnie, jakbym ja także była wyświetlana. Naprawdę interesował go tylko szum maszyn dobiegający zza okna. Robotnicy pracowali intensywniej niż zwykle, cały szpital się trząsł. Zamknięcie okien trochę pomogło – warkot zmienił się w buczenie.

– Gdzie jestem? – zapytałam.

– Tam gdzie wczoraj. W szpitalu. – Doktor Ciało wzruszył ramionami. – Przecież niewiele mogło się zmienić przez jedną noc.

– Długo mam tu zostać. Wyleczycie mnie?

Doktor Krew parsknął śmiechem. Dziąsła miał czarne, policzki przecinały bruzdy, nagle wydał mi się straszliwie stary. Usiadł przy mnie, na brzegu łóżka, oparty o szafkę, pięść zagłębiła się w materacu.

– Córuś, czy ty myślisz, że my tutaj cuda czynimy? Możemy sobie z Ciałem ręce po łokcie urobić, maleńka, i nic z tego, nie damy rady. Trzeba było myśleć, kiedy zaczęłaś psuć swoją duszę. No, nie rób takiej miny! Kłamać mam? Przecież nikt nie chce dla ciebie źle.

– Daj spokój – poprosił doktor Ciało.

– Co daj spokój? Dziewczyna ma prawo wiedzieć. Może ci się, maleńka, polepszyć, możesz czuć się świetnie, ale coś w tobie zawsze już będzie potrzaskane. Jeszcze raz: my tu niczego nie załatwimy, coś tam się naprawi, poskleja butaprenem, ale, rany boskie, dziewczyno, jeśli znów coś rozdrapiesz, to będzie tak samo. To jest jak wódka, maleńka, jak wychodzenie z chlania, zawsze będziesz lubić wódkę, mieć przeźroczyste sny.

Doktor Ciało zmarszczył brwi, usiłował na mnie nie patrzeć – za oknem znalazł coś ciekawszego. Oto kłąb ptaków uniósł się w powietrze, głośny i wściekły.

– Krew upiera się, że chora dusza jest czymś przyjemnym dla chorującego – powiedział.

– Bo i wódka jest fajna – cieszył się doktor Krew. – Widzisz, moja maleńka, kochana Sylwio, dla której został stworzony świat, brylantowa łezko, skarbie, córko wszechświata, to sposób najprostszy i najtańszy: rozgrzebujesz coś w sobie, rozwłóczasz niczym ścierwo i oto wiesz, że masz w sobie jakąś głębię, wrażliwość, że życie cię dotyka. Czułaś się inna, moja maleńka, taka wyjątkowa, szlachetna przez cierpienie, zagubienie, rozpacz. Mogłaś więc chlać i szaleć po knajpach, młodość sobie przedłużać, kochana, skarbeńku, bo przecież dusza chora, musisz jakoś sobie radzić. Bania, bania? Nie tak było?

Zerknęłam na Michałka, cudownie obojętnego, półrocznego malucha – spał w drabiniastym łóżeczku, czerwonym jak wóz strażacki. Ssał paluch i nie miał pojęcia, że istnieje świat, dusze, zagubienie i ptaki.

– Są też padlinożercy – syknęłam wściekła, bo doktor Krew rzeczywiście mnie uraził – którzy babrają się w tych flakach, kochaniutki, żrą je. Nazywają to pomaganiem, a siebie przyjaciółmi lub nawet doktorami.

Opamiętałam się za późno, słowa zostały wypowiedziane. Doktor Ciało zmartwiał, posmutniał, jak człowiek, któremu za dobro odpłaca się kopniakiem w kość ogonową. Za to Krew zerwał się z mojego łóżka, trupio blady, przygryzł wargi, aż mu posiniały. Zaciskał pięści. Wymienili spojrzenia. Już chciałam rzucić coś pojednawczego, w czym zawsze byłam świetna. To Ciało pierwszy zmiękł, krew napłynęła mu do twarzy, policzki doktora Krwi raptem się nadęły, usiłował zaciskać usta, na próżno, najpierw syknął,

potem zarechotał. Ciało śmiał się dźwięcznie i życzliwie, Krew natomiast aż rżał z radości, czerwony, z rękami przyciśniętymi do brzucha, jak człowiek, który się cieszy, gdy bliźni wpadają w wilcze doły lub wybijają sobie zęby na ślizgawce.

Ciało uklęknął i ujął moje dłonie.

Krew poklepał mnie po ramieniu i dał przyjacielskiego buziaka.

– No widzisz, maleńka! – wykrzyknął radośnie. – Zaczynasz wreszcie chwytać, o co w tym szajsie biega!

Tak zadomowiłam się w szpitalu doktora Ciała i doktora Krwi.

***

Trudno mi powiedzieć, jak mijały dni – zlewały się w jedno wielobarwne zdarzenie. Nie pamiętam, o której wstawałam i o której kładłam się spać, pokój zmieniał się zbyt szybko, a z nim moje dziecko. Było dorosłe, a za chwilę maleńkie. Złościło się, stało w kącie i kochało mnie. Czekałam, słuchajcie, przed budynkiem uniwersytetu, gdzie Michał zdawał na medycynę; cholernie trudna sprawa, wiedziałam, że chciałby być sam – to przecież głupie, że matka odprowadza starego konia na egzamin. Siedziałam w samochodzie zaparkowanym w cieniu, przed Akademia Medyczną – nie pamiętam, co to za miasto – filując, z jaką miną wyjdzie, no i czy nie za wcześnie. Pojawił się w grupie, twarz miał markotną, słuchał, jak koledzy przerzucają się opiniami, więc markotniał bardziej i bardziej, ale krok zachował sprężysty, trzymał się prosto, ech, dobrze, że najgorsze za nim. Byłam pewna, że poszło mu świetnie.

Albo przychodził do mnie – siedziałam w szpitalnym pokoju, przemienionym teraz we wnętrze domku letniskowego. Przez okno wpadało słońce, widziałam też góry, nie wiem jakie, pewno niepolskie. Wszedł Michał, zasmarkany, i powiedział, że dostał w zęby. Popatrzyłam, przerażona. Nie tylko w zęby, pod okiem ciemniała śliwa, warga była rozbita, przedramię rozharatane. Musiał upaść na beton, gdy zwiewał.

Miał jakieś dziesięć lat, w tym wieku umie się już nie płakać, choć to trudna sztuka. Oglądałam więc to pobojowisko jego ciała, próbowałam obmyć jodyną zadrapanie. Michał zesztywniał, zacisnął usta, pociekła łza. Powiedział, że nie boli, ale szczypie, i ten płacz właśnie stąd.

– Co to za chłopak? – zapytałam. – Już ja pogadam z jego rodzicami.

– To moja sprawa. – Połknął łzę, stłumił płacz, cały się trzęsąc. – Daj spokój, nie rób nic. Moja, moja, moja.

Powiedział to głosem małego rewolwerowca.

Na drugi dzień poszłam, znalazłam rodziców. Ojciec miał brodę niczym prorok i łapy jak do przerzucania węgla. Mówiłam, a on wymruczał, że pomyśli. Za to matka – szczapa, na którą nadziano szopę jasnych włosów – jęła trajkotać, że powinnam sama pilnować swojego szczyla, a w ogóle to gdzie jest jego ojciec.

Właśnie w tej chwili pojawił się syn tych miłych państwa, w potarganej koszulce, z nosa szła mu jucha, dopadł mamy, zapłakał i pokazywał na mnie palcem. I jaka skarga! Że był grzeczny, a tak dostał w zęby. No to ojciec wsiadł na mnie z mordą, matka w płacz: „Ty suko! Weź, pilnuj swojego kutasa. Kto ci go, kurwo, wsadził?!”.

Wściekła, odpowiedziałam coś o tym, że ja świetnie wiem, kto jej wsadza, i to wcale nie jest budujący przykład. Trzasnęłam drzwiami i popędziłam do Michała. Tym razem prawie nie oberwał. Opieprzyłam go strasznie, zakazałam mu niemal wszystkiego, zabrałam konsolę. Idź i kontempluj w ciszy tę prostą prawdę, że przemoc nie jest rozwiązaniem. Wrzeszczałam. Słyszałam, jak cicho kokosi się w swoim kącie, i tak słuchając, prawie się popłakałam – dzielny chłopak, nie ma co. Mój synek, krew z krwi, szkoda, że jaj nie dziedziczy się po dzieciach.

***

– Mamusiu, co robiłaś, jak byłaś młoda? – zapytał mnie siedmioletni Michał.

– Studiowałam sobie – odpowiadam.

Był cudowny wieczór, siedzieliśmy na tarasie, mały z koktajlem domowej roboty, ja z piwem imbirowym w ręku i książką na kolanach. Słońce zatapiało się powoli w koronach drzew wokół szpitala. Było ciepło, słodko. Kiedyś bym powiedziała: mdłość aż w lukier poszła.

Pies, Kali, kudłaty niczym wielki kłąb kurzu, usadowił się przy mnie, wyciągnął łeb, żeby go podrapać.

– Wiem, ale co robiłaś po studiach? – Wyszczerzył się, choć dla takiego smyka studia zaczynają się za tysiąc lat.

Co miałam odpowiedzieć: mamusia po prostu szukała ciepła, a najgoręcej było w knajpie; to, co było zaledwie wczoraj, wróciło jak dawne wspomnienie. Boże, ale miałam cudowne, popaprane życie, przecież nie umieram, ale wciąż mam przed oczyma tamte miejsca, tamtych ludzi.

– Nic, synku. – Pocałowałam go w czoło. – Byłam w śpiączce, a potem wyjechałam na wakacje.

– Długie to były wakacje, mamusiu?

Mały łajdak, skarb, rozumiał. Gdzieś z głębi ojciec krzyknął coś o szaszłykach.

– Wakacje czasem są bardzo długie – odparłam. – Od trzech do pięciu lat.

***

U nas w domu zawsze ja robiłam pranie, prasowałam też koszule dla Romka, w których, wiedziony nieomylnym instynktem handlowca, jechał sprzedawać kable i światłowody całej Polsce południowej. Z Michałem toczyłam nieustanne spory o bajzel w kieszeniach: bilety, paragony, dziesięciozłotówki, aż dałam spokój – dobrze, synu, co przepadnie, twoja strata. Sprawdzałam tylko, czy nie zostawił czegoś ciężkiego, kluczy albo portfela. Kiedy wyjmowałam jego kurtkę z pralki, coś zachrzęściło w kieszeni. Najpierw myślałam, że mi się zdaje – robotnicy pracowali w podziemiach szpitala i warkot był nieziemski – ale nie. W kieszeni walały się drobinki szkła i gdyby je złożyć, wyszłaby szklana lufka jak ta lala. Szkło było czarne, czyli opalone.

Powinnam z nim porozmawiać. Myślałoby mi się jaśniej, gdyby nie hałasy z dołu. Zaraz trzeba mi iść – przecież, Michałku, masz szesnaście lat, a palisz zioło i to żenione, od byle kogo z ulicy, w kiblach i parkach, na pewno na lekcje przychodzisz upalony. Przecież na tym można by przejechać całe życie.

Wyobraziłam sobie Michała, jak stoi i czeka pod ratuszem dwudziestą minutę, wreszcie dzwoni i słyszy: „Do godziny będę”. Wchodzi więc do knajpy i siedzi, cały w nerwach. Wreszcie tamten przyjeżdża, pyk-pyk, pieniądze, pyk-pyk, zawiniąteczko, a w zawiniąteczku wyschnięte ziele skropione muchozolem, unurzane w świństwach, trujące. Co zrobić? Jak powiedzieć: „Nie pal”?

Wzięłam go na stronę, rozłożyłam resztki szklanego drobiazgu. Zapytałam, co to takiego. Zrobił głupią minę i odparł:

– Miałem aromat do pieczenia w kieszeni.

Spojrzał na mnie, zorientował się, że w życiu mu nie uwierzę. Milczał, a ja powiedziałam, że wiem, co to jest; szkło od aromatu nie bywa opalone. A jemu wzrok rozbłysnął, wyszczerzył się bezczelnie i zapytał:

– A skąd ty, mamo, na tym się znasz?

No i zamilkłam. Tyle wystarczyło, by przegrać, rozłożył mnie na amen, jego uśmiech stawał się coraz szerszy, musiałam się zarumienić, w końcu się roześmiałam. Myślał wtedy, że mu odpuszczę.

– Wszystko jest dla ludzi, ale nie wszystko im służy – powiedziałam. – Jak cię jeszcze raz przyłapię, jak poczuję zapach od ciebie, nogi z dupy powyrywam. Chcesz palić? A pal sobie, ale później. To rozwala ci pamięć. Weź, rany boskie, chociaż zdaj maturę, a potem psuj sobie głowę.

Przytaknął bez przekonania.

Zapadła chwila ciszy.

– Napiłbyś się dykty? – zapytałam. – Denaturatu?

Gwałtownie zaprzeczył. Nie, denaturatu, skąd!

– A jakieś paskudztwo palisz. Wiesz, czym to kropią? Ja nie wiem i nie chcę wiedzieć, wystarczy, że ta zbita lufka zalatuje chemią. – Wskazałam na drobinki szkła. – Musisz palić? To poczekaj, zdaj na studia i posadź sobie coś, ale teraz truć ci się nie pozwolę. Jak jeszcze raz cię złapię, to dopiero się zdziwisz.

Pewności nie mam, ale przypuszczam, że od tamtej rozmowy raczej nie zapalił.

***

Czasem budziłam się w zwykłym szpitalnym pokoju, w którym położyli mnie kochani doktorzy. Michał tu nie mieszkał, ale wpadał po szkole, zobaczyć, jak mama się miewa. Czasem z Romkiem. Czasem sam.

Ciało i Krew dotrzymywali mi towarzystwa. Doktor Ciało opowiadał, jak ciężko było kiedyś prowadzić szpital: pod biczem cezarów, w ogniu rodzącej się Ameryki, w czasie strasznej wojny, kiedy krzyżowcy utopili we krwi Jerozolimę. Jego bramy przekraczali kaci, rycerze i królowie, zostawiając za sobą zakrwawione łany, próbując wyciszyć ryk mordowanych, wciąż brzmiący w ich głowach. Doktorzy pomagali ludziom w stalinowskiej Rosji i w Słowacji księdza Tiso, szukali nadziei w cieniu Czerwonych

Khmerów, budowali namioty dla ojców pustyni, schodzili do więzień i katakumb – w porównaniu z tym, co było dawniej, praca w naszych czasach to bułka z masłem.

Doktor Krew zerkał nerwowo na boki i pytał, czy chcę się nauczyć grać w karty. „Karty", mówił „to jedyny sposób spędzania czasu, który pozwala zapomnieć". Być może. W istocie Krew nie chciał o czymś pamiętać, o czymś, co miało związek z tajemnicą za oknem albo robotnikami pracującymi na dole. Kiedy o nich pytałam, obaj milkli.

Być może zaczynałam popadać w obłęd albo kalejdoskop życia odebrał mi zdolność widzenia – gdzie jestem, co robię – niepokój doktorów stał się też moim udziałem. Śmiali się. Byli ciepli, nie jak kluchy, lecz jak ludzie, jednak, w pewnych chwilach, działo się z nimi coś niedobrego. Wracając do świata z przeszłości, przyszłości, stawałam w oknie i patrzyłam. Coś się nie zgadzało.

***

Nie przebywałam cały czas w szpitalu, sam Krew powiedział, że powinnam wychodzić tak często, jak tylko mogę, bo nie ma nic gorszego niż utrata kontaktu z bliskimi. Rzekł to zresztą w swoim stylu, cmokając, burcząc i wkręcając przynajmniej trzy świńskie żarty. Więc poszłam.

To była przedziwna zmiana – opuścić oddział na półpiętrze, zejść po schodach i dziwić się, że istnieje nie tylko zwykły świat, ale i moje ciało. W szpitalnym pokoju, w przeskokach między prawdą i pragnieniem, czułam się błogo. Gdy wychodziłam, dopadała mnie fizyczność. Miałam mdłości i zawroty głowy, coś ściskało żołądek albo i bolało, jakbym najadła się tłuczonego szkła. Raz prawie zemdlałam. Świat się wówczas zwęził, skurczył do kolorowego punktu. Głowa również szwankowała; czaszka wydawała się za mała, a poza tym miałam nieustanne wrażenie, że ktoś wędruje za mną i liże miejsca, po których przeszłam.

Zerknęłam w podziemia – robotnicy pracowali po polsku, we trzech obsługując jedną łopatę, śmierdziało papierosami i tanim alkoholem, wszędzie leżały poszarpane folie po kiełbaskach i wędlinach, walały się konserwy, nie zauważyłam co prawda ani jednej butelki, za to robotnik wrócił z sześciopakiem – oddawali więc surowce. Patrzyli na mnie dziwnie, bo i widok był niecodzienny: blada kobieta na progu budowy. Wołali, żebym do nich przyszła, więc uciekłam, już przy schodach obejrzałam się. Z ciemności korytarza, daleko za robotnikami, przyszła fala chłodu. I syk: „Wezmę cię".

Pokłóciłam się z matką. Niewiarygodne, jak szybko dochodziła do siebie. Jej chora głowa pulsowała krwią, więc powiedziałam: „Mamo, czy ty zawsze tak musisz? Ile w tobie siedzi złości, przecież cały ten wylew to heca. Już nie umysł, ale twoje ciało obraca się przeciwko mnie. Naprawdę, nie mogłabym mieć trochę oddechu, przestrzeni dla siebie? Ja sama będę mamą, a ty co? Padasz i cześć. Ja wiem, że to nie twoja wina, że może chcesz dobrze, lecz nawet choroby nie biorą się bez przyczyny. Wywołałaś ją, żebym o tobie nie zapomniała, a może wychowawczo: »Nie lamentuj, mała, mam gorzej od ciebie, bo mi coś pod czaszką pękło. Dostrzeż mnie. Nie zniknęłam przecież, skoro właśnie tutaj leżę i potrzebuję ciebie, zwłaszcza teraz, póki nie masz dziecka«".

Matka zrobiła wielkie oczy, zapytała, jak ja mogę tak mówić, skoro ona taka chora. Za pół roku na pewno jej podziękuję, kiedy będzie trzeba opłacić lekarza, zawieźć na porodówkę, potem zostawać z małym, przecież nie ojciec, co nawet imienia nie ma. Wiedziałam, że dam sobie radę. Mogłam mówić, co czuję, i czułam każde swoje słowo, jakby było żywe.

Z Romkiem też nie poszło łatwo, nie chciałam go stracić, w przeskokach szpitalnych był tylko cieniem i snem – ale go śniłam. Przyszłam. Trząsł się i w tej trzęsawce wydukał swoje pomysły, jak to mieszkanie wynajmiemy, jak będzie dbał, popracuje sobie. Pocałowałam go w policzek, dałam mu się objąć i powiedziałam: „Dziękuję. Dobrze, że jesteś, bo bardzo cię potrzebujemy. Oczywiście wolałabym, żebyś wyrósł dla mnie z marzenia, był tym jedynym, którego wypatrywałam przez knajpiany dym, bądź jednak ze mną, stańmy się dla siebie niełatwi i sobie konieczni".

No i Baśka, Baśka, kiedy potrzeba drugiego człowieka, po prostu jest. Powitała mnie informacją, że wyglądam jak gówno, oprócz oczu; nie, moje oczy nie były gówniane. Usiadłyśmy u niej wieczorem i gadałyśmy tak długo, jak tylko baby potrafią. Opowiadałam, że widzę swoje życie jasno i wyraźnie, mogłabym wziąć je w dłonie i wyliczyć, co będzie dzień po dniu. Nie ma niczego cudowniejszego niż brak wątpliwości, wszystko czego się bałam, raptem okazało się nieistotne. Wystarczyło spojrzeć. Wsadzić paluch w ranę przyszłości.

– Skąd wiesz takie rzeczy? – pytała.

Powiedziałam jej o szpitalu. Nie wszystko, doktor Ciało z kolegą Krwią wydali mi się zbyt dziwni, żeby to pojęła. „Ale, Basia", mówiłam „jest miejsce, gdzie mogę poczuć się dobrze, i słuchaj, co za

ironia, to nie dom ani łóżko supermena, tylko zwyczajny szpital z niezwykłym pokojem. My, to znaczy, pokój i ja, poznajemy się lepiej z każdym dniem".

– Poszłaś do psychiatry? Terapia? Nie dajesz sobie rady? Czy lekarstwa nie zaszkodzą dziecku? Naprawdę się leczysz?

Tak, leczę.

***

– Co się dzieje? – zapytałam doktora Krwi.

Siedział u mnie na parapecie, machał nogami i nieustannie zerkał za siebie. Robotnicy musieli przyspieszyć prace, rzadziej chodzili do sklepu, na trawniku stanął też drugi blaszak z narzędziami.

– Nic się nie dzieje – rzekł mi doktor Krew – lekarz też człowiek.

– Martwisz się nimi?

– Robotnikami? Skąd.

Kłamał. Kiedy Krew łże, cały się trzęsie.

– To czemu zerkasz za okno?

Roześmiał się.

– Świat jest ciekawszy niż szpital.

– To co cię złości?

Westchnął, zrezygnowany. Miał takie zmęczone spojrzenie i cienie pod oczami.

– W czym kłopot? – zagadnął. – Mądrość to umiejętność przyzwyczajania się. Gdziekolwiek przyjadę, zaraz są też robotnicy. Ryją, ryją, aż się doryją. I masz historię. Według mnie chodzi o to, że zdaniem niektórych każdy szpital musi pozostawać w nieustannym remoncie. To znak, że nie ustajemy w szerzeniu dobra. Niedługo – cmokał i mlaskał, wsuwając orzechy, które obierał do białości długimi paznokciami – cały świat będzie jednym wielkim szpitalem, a wszyscy ludzie doktorami.

Nie oszukał mnie, jego spokój był podszyty strachem, jakby miał nóż na gardle. Powiedziałam mu to, odłożył więc orzech i palcami przejechał po nosie. Westchnął znowu, popatrzył na mnie łagodnie i tak dziwnie, jakby naprawdę mnie kochał.

– Mamy potężnych przeciwników, Sylwuś. Dlatego nigdzie nie zostajemy zbyt długo. Nie bój się. – Ucałował mnie w powieki. Cuchnął papierosami i koniakiem. – Prędzej umrę, niż dam ci zrobić krzywdę.

Odwracał twarz od okna i zarazem na nie wskazywał.

Nie musiałam gapić się specjalnie długo, by zrozumieć. W rzeczy samej, pojęłam prawdę w jednej upiornej chwili. Jeszcze kilka dni temu nad drzewami wokół szpitala widziałam bloki, teraz bloki zniknęły. Na wysokości twarzy miałam grube pnie, wyżej wiatr wił się w gałęziach. Zerknęłam w dół – mogłam wyskoczyć wprost na trawę, nie czyniąc sobie krzywdy.

Niesłychanie powoli, niezauważalnie budynek szpitalny zagłębiał się w ziemi. Być może miną tygodnie, zanim ugrzęźnie po dach. Ale do mojego piętra brakowało już naprawdę niewiele.

Odwróciłam się, przerażona.

Za mną nie było już doktora Krwi. Zostały tylko łupiny i zapalniczka.

***

– Dokąd idziesz, mamo? Nie zostawisz mnie tutaj samego?

Miał jakieś cztery lata. Nie musiał rozumieć, by się bać.

– Tylko na chwilę. – Objęłam go mocno. – Nie zostawię cię na długo.

– Nie mogę iść z tobą? – Pociągnął nosem.

Dzieci czasem mają oczy dorosłych, więcej nawet, są dorosłe aż po szaleństwo. Tak na mnie patrzył. „Nie mogę iść z tobą?". Dobre pytanie, zobaczyłam nagle sama siebie, jak opuszczam oddział i szpital, biegnę z Michałem na rękach, a on się rozpada – dłoń zamienia się w popiół, kark nie może unieść głowy. Nim krzyknę, wiatr unosi pył między drzewa, resztki mojego dziecka przelatują przez palce. Coś we mnie zawyło. Nie, spokojnie – Michał był wciąż obok.

– Nie możesz. Wrócę niedługo. Obiecuję. Czekaj i nie bój się nic a nic.

Nie rozumiem, jak ludzie mogli tego nie dostrzec – parter szpitala znajdował się w całości pod ziemią, która przesypywała się przez nieszczelne okna, piętrząc się przy ścianie niczym mrówcze kopce. W ostrym świetle szpitalnego korytarza widziałam wyraźnie nie tylko korzenie drzew, ale także zagrzebane puszki, mięknące niedopałki, kości ludzi i zwierząt. Nikt nawet na to nie spojrzał, a jeden lekarz – z

pewnością nie taki mądry jak moi doktorzy – otworzył okno, ziemia posypała mu się na twarz, a on w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Odszedł, z brudnymi policzkami i czymś paskudnym na wardze.

Drzwi się otworzyły i wszedł robotnik, właściwie, wygrzebał się z błotnistego mułu i podreptał schodami w dół, pozostawiając za sobą brunatny ślad. Szłam tym tropem, na budowę, uważając, żeby mnie nie dostrzegli. Z dołu dobiegał warkot maszyn, szkło uderzało o szkło, ziało chłodem i trupem. Postęp prac wprawił mnie w osłupienie. Zeszli nisko, w gołą ziemię, podpierając ją konstrukcją z drewna i ścięgien. Łypały w niej płaskie twarze, bez ust lub oczu, o poczerniałych policzkach, czołach pociętych do kości, z ćwiekami w uszach i brodzie. Były też dłonie o połamanych paznokciach, obcięte stopy, a ze ściany na półpiętrze, metr nad zaimprowizowanymi schodami, sterczał sam brzuch, tłusty i bielutki. Firanki skóry zwisały swobodnie, z pępka zerkało przekrwione, zagrzebane w ziemi oko.

Robotnik, za którym poszłam, położył się płasko na plecach, zachrzęściły stawy i niesłychanie powoli obróciły się w ten sposób, że palce u stóp, kolana i łokcie celowały w ziemię. Za nimi przekręciła się głowa. Robotnik obserwował świat spomiędzy własnych łopatek. Za to zyskał na żywotności, uniósł się i popędził w głąb pomieszczenia. Na brzuchu, wprost z ubrania, wyrosła mu druga gęba. W oczodołach intensywnym żółtym światłem zapłonęły cyklopie oczy. Robotnik, czy też to, co było robotnikiem, pognał w głąb podziemi. Inni wyglądali podobnie, powykręcani, brudni, ryli w ziemi, osłabiając fundamenty szpitala.

Przy podłodze snuł się bury dym, jakby kurz. Nadciągał z dalszego korytarza. Gdzieś, daleko, migotały niebieskie punkty, odległe, jakby tkwiły na drugim końcu świata. Gwiazdy, pomyślałam, gwiazdy i dym. Uciekłam, nim mnie spostrzegli. Dopadłam pierwszego lepszego lekarza i mówiłam, krztusiłam się: „Zobacz pan, co jest na dole, tylko zerknij, trzeba coś zrobić, powiedzieć ludziom, ratować szpital". Spojrzał na mnie zaniepokojony, lecz chyba szczerze się przejął.

– Coś się komuś stało na dole? Pani jest od nas?

Pobiegł, zaaferowany, do robotników, do tych istot, w które się zmienili. Tak straciłam go z oczu i zaraz pomyślałam, że zrobiłam głupotę. Złapią go i zabiją, będzie kolejną twarzą w ścianie. Długo go nie było. Stałam z ręką przyciśniętą do ust, mokre od potu włosy lepiły mi się do twarzy. Ludzie patrzyli dziwnie, podobnie jak doktor, który wyczłapał z podziemi.

Najpierw wydało mi się, że trzyma na ramieniu upaprany worek. Kiedy worek się poruszył, wzięłam go za małpę. Nie, to było paskudne stworzenie rozmiarów małpiatki, z ludzką bezwłosą twarzą i członkiem długim jak ogon. Z czoła stworzenia sterczały krótkie rogi. Rozchylało usta i mogłam zobaczyć, że nie ma ani pół zęba, tylko gładkie dziąsła, jego język wieńczyło krótkie żelazne ostrze. Stworzenie obejmowało doktora za szyję.

– Powiedz jej, że wszystko jest w porządku. Nic tam nie ma, nic a nic – skrzeknęło mu w ucho.

Lekarz kiwnął głową.

– Coś się musiało pani pomylić. Nic się nikomu nie stało. Robotnicy pracują – powiedział.

– Ach tak?

– Zagroź jej. Niech tam więcej nie schodzi – szeptał demon – ostrzeż ją. Przyjdziemy najpierw po dziecko, potem po nią. Niech wie i niech się boi.

– Może zajrzy pani do mnie? Nie wygląda pani najlepiej.

Doktor świetnie udawał troskę.

Stwór skakał mu na ramieniu z ukontentowania. Nie domyślał się, że go widzę.

Wrzasnęłam ile sił w płucach: „Od ciebie pomocy mi nie potrzeba". Pomknęłam na górę, przecież nie wybiegnę przez drzwi, są zasypane; myślałam, że ruszy w pościg, lecz stał tylko, zdezorientowany. Demon na jego ramieniu wskazywał mnie paluchem, skrzeczał i podskakiwał. Z rozpędu minęłam swój oddział na półpiętrze, dopadłam pierwszego lepszego okna i wyskoczyłam, odprowadzana przez pisk przerażonej pielęgniarki. Spadałam dłużej, niż się spodziewałam, wylądowałam jednak miękko, na nasłonecznionej trawie.

***

Mogłam pójść do Baśki, do Snupa i Centa albo do Romana. Baśce ufałam aż po duszę, ale niestety, to dziewczyna, a dwie baby w tej aferze były niepotrzebne. Snup i Cent to najsłodsze, najbardziej zwariowane głuptasy o wielkich sercach, jakich znam. Jeśli wzięliby mnie poważnie – w co wątpiłam – do sprawy podeszliby jak do kosmicznej przygody, widzieliby lasery i miecze świetlne. Nie tego było mi trzeba. Roman... Nie wierzyłam w ani jedno jego słowo. Był jednak ojcem.

– Wyglądasz jak fura smarków – przywitał mnie i wpuścił do środka.

Klitka, którą zajmował, przypominała świątynię poświęconą bóstwu wszystkich kawalerów. Zlew pełen garów, na stole kubki i talerze klejące się do blatu, na podłodze kłąb ubrań. Do maleńkiego pokoiku zdołał wcisnąć dwa fotele, szafę przysadzistą jak Rosjanka, kilkanaście pudeł z kompaktami, popielniczki, majtki, butelki. Usiadłam między niedopałkiem i skarpetką, dostałam kubek czekolady. Boże, jak mi przedramiona schudły!

Przeczuwając, że nie przychodzę z zaproszeniem do tańca przy księżycu, powiedział zaraz, jak to bardzo martwi się tym, co mówiłam mu ostatnio, jeszcze bardziej moim aktualnym wyglądem, ale jest mężczyzną, więc to zniesie, a nawet pomoże. Ponoć poukładał sobie wszystko w głowie i teraz uważa, że życie lepiej mu przebiec nie mogło. Otóż mogło, kwiatuszku, odparłam, mogło jak cholera.

Piłam czekoladę i opowiadałam wszystko po kolei – jak trafiłam na niezwykły oddział, kim są doktorzy Ciało i Krew, co zobaczyłam w podziemiach, kim naprawdę są robotnicy, jaka zmiana nastąpiła w lekarzu. Doszłam do najważniejszego: „Tam jest nasz synek, w różnym wieku, widuję też ciebie, ale to nieistotne, ważne, jakie grozi mu niebezpieczeństwo".

– Musimy wrócić tam oboje – zakończyłam – będziemy czuwać na zmianę i uratujemy nasze dziecko.

– Rozumiem – odpowiedział i zamilkł.

Ja na to:

– Chodź, nie mamy czasu do stracenia.

– Powinnaś się przespać, odpocząć. Spędzić noc poza domem. Jutro razem pojedziemy do szpitala.

– Jutro! Czy ty mnie słuchasz? Jutro będzie za późno, jutro szpital, a przynajmniej moje piętro, może zniknąć! Co wtedy! Co z naszym dzieckiem?

– Dziecko masz w sobie – rzekł.

Ujęłam jego dłonie i przycisnęłam sobie do brzucha. Mówiłam? Nie, coś przemawiało przeze mnie.

– Nasz synek, owszem, jest we mnie. Ale nie tylko. Przecina czas i przestrzeń za sprawą szpitala. Robi to dla mnie, więc i ja, my, musimy zrobić coś dla niego. Ciało i Krew nie zdołają go ocalić. Nie rozumiesz? Teraz jest we mnie, ale tam, w szpitalu, żyje we wszystkich czasach razem z nami, jesteśmy dobrym małżeństwem. On żyje, słuchaj mnie, proszę. Żyje – szepnęłam – w gwiazdach i w dymie.

Długo nie mógł znaleźć odpowiedzi, zamknął się w ubikacji i tam pisał coś do kogoś w telefonie – wiem, bo jak tylko wyszedł, dostał dwa albo trzy esemesy. Czytał je i uśmiechał się głupio, a kiedy skończył, ktoś już dobijał się do drzwi. No to przyszli fałszywi przyjaciele – Baśka, Snup, Cent, otoczyli mnie jak zwierzę. I mówili, mówili, a mnie ogarniał strach, którego nie mogłam okazać – nie wiedziałam przecież, co w szpitalu, co z Michałem.

– Dzwoniłem do twojej mamy. Bardzo się tobą martwi. Wspominała, że byłaś u niej i zachowywałaś się jak nie jej córka. Patrzę na ciebie i mogę w to uwierzyć. Skarbie, co się z tobą stało? Gdzie jest moja mała Sylwia? – pytał Roman.

– Wszyscy bardzo cię kochamy. Wiem, że czujesz się samotna i skrzywdzona. Przykro patrzeć, jak się miotasz, szarpiesz. Los bardzo cię skrzywdził. Postaraj się w zamian nie krzywdzić nikogo. – To Baśka zabrała się do pocieszania.

– Nie bój się, siostruchna, nic a nic!

– Tylko nie wydziwiaj. Nie szalej nam tutaj.

Snup z Centem gadali jeden przez drugiego, głosy mieli ochrypłe, twarze pobladłe, a oczy wypełnione nudą.

I tak w nieskończoność. Proponowali różne cuda: może do księdza, on pomoże, do psychiatry (leki zapisze, będzie superspoko, radował się Cent), albo i szpitala, takiego prawdziwego, gdzie nie panoszą się doktorzy o dziwnych nazwiskach. Próbowałam wyjść, nie dali.

– Kocham cię – powiedział Romek, sadzając mnie na krześle.

Więc siedziałam, umierając z niepokoju o małego, ale przecież nie mogłam walczyć z całą czwórką. Mówiłam w kółko to samo, coraz słabiej i słabiej, rozmywałam swoje słowa i z rozmysłem zdradzałam siebie. Pozwalałam mojej głowie opadać, pozorując zmęczenie, przymykałam oczy, wreszcie, poprosiłam o kawę. Mocną.

– Może pójdziesz spać? Tutaj, wszystko przygotuję – padło. I zaraz zachęcające spojrzenia. – Śpij, Sylwi, odpocznij, to dobrze ci zrobi.

Rozłożyli mi łóżko, poszłam do łazienki, nie rozpoznałam siebie w lustrze, aż musiałam się ochlapać, nie wierzyłam, że woda po prostu po mnie spłynie. Potem, pozwoliłam się położyć, przytulić każdemu po kolei. Został tylko Romek. Objął mnie i głaskał po twarzy. Udawałam, że płaczę, udawałam, że śpię.

Nie wiem, jak długo tak leżałam, ścięta przerażeniem o los Michała i niepewna własnych sił, by już ruszyć. Za oknem umilkły samochody, pogasły światła w bloku na przeciwko, jedynie latarnie świeciły, ćmy wirowały wokół nich. Wyśliznęłam się z pościeli, zapaliłam światło w łazience, żeby Romek, jakby

co, pomyślał, że tam siedzę. Po cichutku, spodnie-bluzka-buty, już miałam wychodzić, gdy Romek ocknął się, uniósł głowę, wrzasnął tak po swojemu:

– Ej! Gdzie ty?!

No gdzie ja, zawróciłam, wpadłam do pokoju. Akurat podnosił się z pościeli, cudownie bezradny, jak tylko facet bezradny być może, w szarych bokserkach, bosy, z zapadniętym torsem, kopnęłam go, dostał w oko, jęknął, chwycił się za twarz. Wybiegając, zerknęłam na niego, próbował wstać, oko ocalało. Jego krzyk odprowadzał mnie, gdy gnałam po schodach.

***

Widziany z daleka, szpital skojarzył mi się z pradawnymi ruinami, jakie czasem oglądamy w filmach dla młodzieży – szeroka fasada, rozłażące się odgałęzienia, anteny na dachu i kominy wyglądały na naprędce wycięte z tektury. Wiał wiatr, ale drzewa pozostawały nieruchome, podobnie jak latarnie, świecące trupio bladym światłem. Żwir chrzęścił pod moimi stopami.

Światła na korytarzach szpitala powinny palić się nawet w nocy, tymczasem budynek był czarny jak hip-hopowy teledysk ze Stanów. Coś przemieszczało się w pobliskich krzakach, łopotały wielkie skrzydła, zabrzmiały kroki – spojrzałam przez ramię, za mną nikogo nie było, wirował pył. Coś szepnęło z trawy, szurała ziemia, trzasnęła gałąź, banalność strachu aż wyła i w tym wrzasku zabrzmiał drugi, urwany – Michałek wył w szpitalu. Pobiegłam ku czarnym drzwiom.

Otworzyły się z szelestem, jak papier trący o papier, i stanęłam w ciemnym korytarzu. Znalazłam kontakt, ale rząd jarzeniówek u sufitu, zamiast świecić, migotał, zamykając mnie w półsekundowych kloszach, mrok i blask, mrok i blask. Czasem zdawało mi się że widzę nagie, chude ciała pełzające po podłodze, czasem znów było pusto i brudno. Mignął mi doktor, ten sam, który zszedł do podziemi, wytrzeszczał na mnie oczy i wywalał język – to demon dusił go ogonem. Lekarz padł na kolana i wyciągnął do mnie błagalne dłonie. Z ręki wysunął mu się telefon komórkowy.

Tylko ta komórka przypominała, że mamy wiek dwudziesty pierwszy. W jarzeniowych błyskach widziałam białoszare ściany pokryte plamami, brudne, nieszczelne okna, popękane kafelki, łóżka na korytarzach, paskudne plakaty ukazujące szare, szczęśliwe rodziny. Takie szpitale znałam z dzieciństwa, w podobnym leżałam na zapalenie ucha, gdy miałam pięć lat. Droga w dół postarzyła to miejsce. Kto wie, przeraziłam się, może jak się jeszcze obniży, to z Polski Ludowej parter zmieni się w chałupę, gdzie baba odbiera porody, kowal wyrywa zęby, z sufitu zwisają święte zioła, skrzeczy kot, maści lśnią w garnkach. Niech zjeżdża, ile chce, mnie trzeba do góry, do mojego dziecka.

Popędziłam na półpiętro, schody były śliskie, same usuwały się spod stóp, a gdy chwyciłam za poręcz, ta przemieniła się w wielki ogon, bardzo ukrwiony, miałam wrażenie, że lekko nacisnę i tryśnie krew. Próbował owinąć się wokół mojej dłoni. Cofnęłam ją ze wstrętem.

Zamiast drzwi prowadzących do oddziału na półpiętrze ujrzałam wielką wyrwę o postrzępionych brzegach, jakby framugę wraz z kawałkiem ściany wywaliła jakaś straszliwa siła, ta sama, która zrobiła wgniecenie po przeciwległej stronie. W korytarzu nie było prądu, bałam się iść w ciemność, użyłam zapalniczki – ogienek sparzył mnie w palec. Wokoło walały się reklamy lekarstw, część zwinęłam w rulon, podpaliłam. Resztę schowałam do kieszeni.

W migotliwym świetle widziałam rozorany sufit, klepki zerwane z podłogi, dym snujący się u moich stóp. Drzwi do pokoi były zdewastowane, potrzaskane w drzazgi, progi wygięte, jakby je rozgrzano i zdeformowano. Wnętrze ziało ciemnością i chłodem. Pognałam dalej, do siebie, tam gdzie leżałam przez ostatnie tygodnie. Tu drzwi ocalały, jeśli nie liczyć dziury wielkości pięści pośrodku. Wisiały krzywo na jednym zawiasie. Pchnęłam je; runęły, wzniecając tuman kurzu. Jęknęła drewniana podłoga, zarezonowało podwójne okno.

Z mojego łóżka został tylko metalowy szkielet, wygięty w środku. Na sterczące druty nadziano resztki pościeli, która – o mój Boże – była czerwona. Jeszcze mokra. Dziecinne gryzmoły nadpalono, zniknął święty obrazek, na jego miejscu widniała moja własna, stara twarz, odciśnięta głęboko w murze. Moje usta otworzyły się miękko i coś do mnie powiedziały.

Cofnęłam się – nigdzie śladu Michała; to zwykłe, zdewastowane pomieszczenie, puste pudło po marzeniach. W szafie zamiast moich książek i ubrań, wisiały ludzkie skóry. Wołałam mojego synka i dobrych doktorów, na przemian, i to dosłownie, raz mój głos był płaczliwy, raz nieulękły, odbijał się echem od wymarłych murów. W tle zabrzmiało coś jeszcze: miarowe kapanie wody z kranu w pokojowej łazience.

Papiery w ręce już się wypaliły, zmieniłam je na nowe, czerwony blask padł na umywalkę, kafelki i doktora Ciało, który leżał w brodziku i trzymał sine dłonie na wyprutych flakach. Wzrok miał pusty, nogi

rozrzucone, w ogóle leżał bardzo dziwnie, jakby nigdy nie był człowiekiem, powykręcany, sztywny. Uklękłam przy nim, bez sensu dotknęłam szyi – był lodowato zimny, aż się sparzyłam. Skórę też miał inną, oczy jak blaszane gwiazdy, wytrzeszczone, z ust szedł dym.

Zwędrowałam resztę oddziału – nic, tylko ruiny, osmalone ściany, potrzaskany sprzęt, puste butelki, błyszczący skalpel tkwił w biurku, przy którym jeszcze niedawno siadywał doktor Ciało. Stanęłam, bezradna, cisnęłam papiery, rozsypując płatki żaru. Wkrótce zgasły i otoczyła mnie ciemność. Z tej ciemności wyszedł doktor Krew.

Właściwie wypełzł – schował się za przepierzeniem, zauważył mnie, wiedział, że nie jestem groźna. Poruszał się na czworakach, zostawiając ślad niczym ślimak, za to szeroki i czerwony. Twarz miał usmarowaną krwią, przedramiona pocięte, bose, napuchnięte stopy. Opadł na podłogę, tylko głowę unosił, jak małe dziecko, i oczy też miał takie wielkie, bezrozumne.

Dopadłam do niego, odwróciłam go na plecy, na ułamek sekundy zdołałam zapomnieć o Michałku – rany doktora Krwi, tego wesołego, dobrego faceta, nie dawały nadziei na dobroć i wesołość: spod zdartej skóry wychodziły żebra, brzuch był rozszarpany, można by pomyśleć, że przeciągnięto przez niego jakiś hak.

– Uszy do góry, koleżanko – powiedział, nie bez wysiłku – to zawsze kończy się w ten sposób.

Dostrzegł pytanie w moich oczach, pytanie, które bałam się wypowiedzieć.

– Ukryłem go dobrze. Nie znajdą. Córuś, nie dostaną go. – Przymknął powieki, krew poszła spod nich, tak, doktor Krew był krwią w istocie, już żebra mu kruszały, ich drobinki zmieniały się w czerwonawy syrop. Oczy były czarne. – Nie dostaną go – powtórzył – jeśli tylko się pospieszysz.

Jego głowa miękła, w dotyku przypominała mokrą gąbkę.

– Na dole – chlusnęło mu z ust – schowałem go na dole, w ścianach. Tam nie przyjdzie im na myśl go szukać. Kuj w ścianach, płytko, znajdziesz, weźmiesz, będziecie razem. Nie bój się. To głupcy. – Splunął, policzki spłynęły gładko. – Nie bój się, zawsze tak jest.

– Czy mogłabym...?

– Nie. Leć już! Przecież mówię, tak jest zawsze, i tyle. – Próbował się uśmiechnąć tym, co mu pozostało z ust. Słowa ginęły w chlupocie. – Słuchaj jeszcze, córeczko, on nie jest w jednym miejscu, od razu by go znaleźli. Szukaj osobno ciała, osobno krwi i dodatkowo serca. Musiałem tak zrobić. Nawet jeśli znajdą ciało i znajdą krew, to bez serca nic a nic, rozumiesz? Trzy rzeczy. Ciało. Krew. Serce.

– Rozumiem – powiedziałam.

I była to prawda, w tej chwili wszystko stało się jasne. Delikatnie odłożyłam głowę doktora Krwi. Obrócił ku mnie rozmokłe oczy.

– Gwiazdy i dym, pamiętaj o tym. Strzeż się gwiazd, w dymie się kryj.

Już go nie było.

***

Przed schodami do piwnic zatrzymałam się na chwilę. Wokoło nie było nikogo, tylko szpital straszył peerelowską szarzyzną, koszmarnymi rysunkami dzieci, brunatnożółtą kredką. Mogłam pobiec natychmiast – pod stopami czułam leciutkie drżenie, echo Michałowego serca. Przecież nie dodrapię się doń gołymi rękami, nie przegryzę muru.

Na dworze panował chłód, buty zaraz mi przemiękły. Musiałam się namęczyć, nim otworzyłam blaszaną budę robotników – nie strzegły jej żadne czary, lecz zwykła zardzewiała kłódka, którą mogłam podważyć byle prętem. Prętów na szczęście nie brakowało. Kłódka puściła z trzaskiem. Bałam się, że coś skoczy na mnie z mrocznego wnętrza, ale gdzie tam, butelki skakać nie potrafią. Zabrałam łom i młotek. Uginając się pod ciężarem młota pneumatycznego, zaplątana w kabel, zeszłam do podziemi i tam akurat było całkiem ciemno.

Nawet najmniejsze światło nie dochodziło już na półpiętro – idiotka, targałam ze sobą kompletny zestaw do wyburzania szpitali, a latarki nie wzięłam. Szłam więc przy ścianie, co nie było przyjemne, poręcz wiła mi się w dłoni, nieustannie umykała, mur zaś był ciepły, napuchły czymś gęstym, a kiedy wymacywałam twarz lub dłoń weń wepchnięte, te rozpaczliwie próbowały cofać się przede mną.

Do piwnic trafiłam z hukiem, upadając na twarz z ostatniego stopnia, zadzwonił łom, głucho rąbnął młot pneumatyczny. Lizałam pył. Szczęście w nieszczęściu, pod sobą czułam kabel, znalazł się i kontakt, czerń przeszła w paskudny półmrok. Światło płynęło z gołych żarówek, rozmieszczonych na kablu w kilkumetrowych odstępach. Ciągnął się po ziemi i zwisał z rusztowania, wściekle żółty. Światła tworzyły niewyraźną drogę, poprzecinaną ciemnością – część żarówek była utłuczona – nie poszłam nią, uznałam, że mnie zwodzi. Blisko ściany.

Ciało. Krew. Serce. Tylko tyle, aż tyle, może o czymś zapomniałam? Przyłożyłam ucho do ściany. Potem dłoń. Nic. Tu w ogóle ściany nie były takie jak przy schodach, prace ruszyły, wzniesiono już konstrukcję, rodzaj metalowego szkieletu wypełnionego ociepleniem, z puszczoną instalacją elektryczną. Nie, przez to nic nie wyczuję! Chwyciłam łom i ledwo odgięłam jedną belkę. Złapałam za ocieplenie, szarpnęłam, porwało się, poszło za trzecim razem, masa błyszczących drobinek zawirowała w powietrzu, gęsto. Dotknęłam ściany. Nic. Zrobiłam trzy kroki – liczyłam, by zachować rytm – i znów zdarłam ocieplenie. Zaszczypało mnie w twarz, ręce bolały od ostrych drobinek, ból nieważny, ważne, że złapałam trop. Za czwartym razem poczułam słabe ciepło bijące zza ściany, znak, że gdzieś w pobliżu Krew skrył ciało mojego chłopca.

W górę? W dół? W bok? Dalej, wyrywałam ocieplenie, drobinki już wpadły do ust, drapały w gardło, schodziły w przełyk, bolało, nic to, trzeba szukać – zrywałam ocieplenie, drobinek robiło się więcej i więcej. Twarze, uwolnione spod ucisku, oddychały gwałtownie. Znalazłam ciepłą linię wzdłuż ściany, szła ukosem, ku górze, dotarłam do gorącego miejsca, na wysokości mojej głowy. Przycisnęłam do niego policzek i czułam się prawie tak, jakbym tuliła mojego synka. Wystarczyło mi rozsądku, by w tym nie zatonąć, zawróciłam po narzędzia. Musiałam przejść przez gęsty obłok kłujących drobinek. Kaszlałam. Widziałam gorzej. Może coś złego z piwnicy mamiło moje oczy, może pył się w nie wgryzł albo żarówki się przepaliły. Mięśnie miałam mocne, raz-dwa biłam w ścianę, najpierw poszły okruszki, potem łupki, wreszcie połówki cegieł. Wzięłam się na sposób, zaczęłam podważać – zaprawa była miękka, wszak doktor Krew skończył swoją pracę niedawno. Już odrzuciłam łom, gołymi rękami wyszarpywałam kawałki ściany, pot zalewał mi oczy, a przez ciało, od brzucha do gardła, przeszła fala ostrego bólu. Nawet ciało się przeciw mnie obróciło nieznośnym ostrzem. Nic to, nic dla mnie, wszystko dla niego.

I było! Skryte bezpiecznie, ciało mojego synka, nie większe od zaciśniętej pięści, wciąż ciepłe, oczekujące moich rąk. Chwyciłam tę kruszynkę, tak delikatnie, bałam się, że to powietrze, że przeleci mi przez palce; znów skurcz, gorszy od poprzedniego. Kurwa mać, Sylwuś, nie syp mi się teraz, nie w tej piwnicy, z ciałem synka przy piersi, z własnym ciałem sobie wrogim, w poszukiwaniu krwi.

Nie mogłam się cieszyć zbyt długo, schowałam ciało pod bluzkę – ból już został ze mną, przycupnięty nad kroczem – popędziłam w głąb budowy, na oślep, ku przeciwległej ścianie. Zaplątałam się w kabel – może ożył i szarpnął mnie za stopę? – poleciałam na twarz, próbując chronić ciało Michałka. Przy drugiej ścianie tak łatwo nie poszło, musiałam przejść przez pół pomieszczenia, nim natrafiłam na choćby letni kawałek muru, powietrze jeszcze zgęstniało od ostrego pyłu, miniaturowych noży, siarki w oczach i gardle.

Wreszcie jest, ciepły punkt i gorętsza już linia, garście ocieplenia poleciały w powietrze, przejechałam tak kilkanaście metrów, aż znalazłam bijące, gorące źródło. Tu łom nie pomógł, kochany doktor ukrył krew głębiej, musiałam znaleźć kontakt w żółtym kablu i podpiąć młot pneumatyczny. Spróbowałam go unieść, jęknęłam tylko. Zalewał mnie pot, miednica nabrzmiała bólem, uda były wilgotne. Szarpnęłam ponownie, przycisnęłam wiertło do ściany całym ciałem. Zaburczało, omal nie wypadło mi z rąk. Wierciłam z zamkniętymi oczyma, młot podskakiwał w moich dłoniach. Wreszcie poszła pierwsza cegła. Dalej było już łatwo, wystarczyło podważać, aż powstał otwór wielkości mojej głowy. Rozległy się głosy.

Przyszli po mnie. Kroki dudniły na schodach.

Porwałam krew z wyrwy, popłynęła mi po dłoniach, po brzuchu, aż po kolana, próbowałam ją chronić, przycisnęłam więc do ciała Michałka, schowanego pod bluzką, głęboko, na wysokości pępka, słyszałam jak witają się ze sobą, łączą i stają się jednym.

***

Prześladowcy – robotnicy, demony, lekarze przez nich zniewoleni – zbiegali po schodach. Drogę ucieczki miałam odciętą. Krew połączyła się już z ciałem, trzeba było tylko serca, by tchnąć życie. Oceniłam swoje szanse i pokrzepiona tą mądrością, zamieniłam młot pneumatyczny na łom. Dobrze leżał w dłoni. Tamci biegli, jeszcze ich nie widziałam, ale w moich uszach brzmiała ich diabelska mowa.

Wyraźnie przyspieszyli, kiedy łomem stłukłam żarówkę. Paliło się ich w piwnicy kilkadziesiąt, wszystkich bym nie stłukła. Przypomniała mi się choinka i światełka – wystarczyło zepsuć jedno i drzewko ciemniało. Chwyciłam więc młot oburącz i waliłam w kabel, zaciskając zęby. Boże, jak bolało! Najpierw poszła żółta izolacja, potem coś we mnie pękło i zaraz pogasły żarówki. Zapadła ciemność.

Wycofywałam się bezgłośnie w głąb piwnicy, aż poczułam ścianę za plecami. Zatem to miejsce miało swój koniec. Przycupnęłam, ukojona ciepłem, które niosłam przy sobie. Tup, tak zabrzmiało, cichuteńko – gdzieś, w szpitalu biło serce mojego dziecka. Tamci dotarli na dół, próbowali włączyć światło, rozległy

się bulgoczące przekleństwa. W pomieszczeniu rozszedł się dziwny dźwięk, zawodzenie, w którym kryło się moje imię.

Ich cyklopie oczy zapłonęły na zimnoniebiesko, ich światło z trudem przebijało się przez obłoki drobinek po ociepleniu. Ledwo powstrzymałam krzyk, chłód objął moją głowę, nogi, brzuch – oto zimne gwiazdy zmierzały ku mnie, przebijając się przez kolczasty dym. Jak dzieci nuklearnego nieba, gdy śmiercionośne obłoki spowijają domy i ludzi w tych domach, zimne światła wędrowały w moim kierunku szeroką falą, błyskały i gasły, przedzierając się przez maleńkie ostrza. Słyszałam warknięcia i wściekłe jęki, dym wgryzał się gwiazdom w oczy, szarpał ich płomienie, na próżno. Spróbowałam się przesunąć, nie widzieli mnie jeszcze. Szłam, nisko pochylona, z łomem w dłoni, licząc, że dym mnie obejmie, ukryje, że zniknę dla oczu gwiazd.

Spostrzegły mnie jednak. Gwiazda po gwieździe obracały się w moją stronę – więc tym jesteście, skurwysyny, nie ludźmi, nawet nie demonami, lecz zimnym światłem psów gończych, posłanych po wszelkie życie. Poderwałam się, zamachnęłam, strąciłam pierwszą gwiazdę, jęknęła i poleciała ku ziemi. Wypowiedziałam więc swoje życzenie. Szlag z wami!

Biłam dalej, gwiazdę po gwieździe, spadały, lecz krąg się zacieśniał, lodowate dłonie chwyciły mnie za ramiona, szarpnęłam się, kopnęłam, odzyskałam wolność. Na krótko. Gwiazdy dopadły moich oczu, pochwyciły dłonie, wytrąciły łom, więc drapałam i gryzłam, aż całkiem osłabłam, osunęłam się na kolana, tylko gryzłam, lecz gwiazdy nie chciały już spadać, tylko pochylały się nade mną.

Już brzmiały ich głosy, niby ludzkie, lecz gwiazdy to łgarze.

– ...Mamy ją! Mamy! – wołano w stronę schodów.

– ...Biedna dziewczyna!

– ...Już ci biedna! Ale mnie użarła!

– ...Moja głowa!

– ...Latarka! Wytrąciła mi latarkę z ręki!

– ...Tutaj! Tutaj, panie doktorze!

Spomiędzy moich ud wypływała struga krwi.

***

Teraz mówią, że to moja wina.

– Powaliłaś trzech rosłych chłopów, dziewczyno – rzekł Romek ze smutkiem. Siedział przy moim łóżku. To było inne łóżko i inny szpital, wojewódzki. – Zrobiliśmy wszystko, co się dało, ale płodu – tak, użył tego słowa – nie zdołaliśmy uratować. Dziecka. Tam w piwnicy.

Akurat, gadaj sobie zdrów.

Mam jego ciało, mam krew, tylko serce wciąż bije w podziemiach. Jęczy w ścianach z tęsknoty. Wrócę i je zabiorę.

Wiem, że to pierwsze życie. Drugiego, dziesiątego, setnego – może nie spapram. Powrócę w tej samej roli, pamiętając poprzednie doświadczenie, tak jak nieustannie odżywają doktor Ciało, doktor Krew, przerażający robotnicy, ryjący termitiery dla dusz pod szpitalem. Będę szukać, krążyć, naprostowywać swoje życie w nieustannych próbach. Teraz, kiedy mnie odciągają, szarpią, rozumiem ironię tego procesu, odrodzeń w tym samym ciele. Wiem też, czemu ludzie nie mogą być szczęśliwi. To ostatni szczebel drabiny, stanę kiedyś tam – może – z Michałem i ze wszystkim, życie będzie gorące, całe takie jak mój pobyt w szpitalu. Nie ma już wyższych szczebli, to będzie ostatnie życie, umrę, zniknę, a świat popędzi dalej, jakby nigdy nie było żadnej Sylwii.